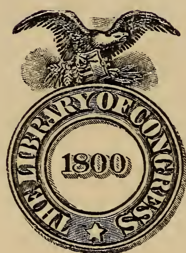

THE LIBRARY OF CONGRESS
1800

Hrabia Parobkiem

u

KMIECIA.

Komedya w sześciu aktach ze śpiewkami;
opracował z oryginału

FR. KRAWCOWICZ.

CHICAGO, ILLS.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA.
1896.

OSOBY:

Antoni	Hrabia.
Stanisław	Szlachcic.
Ludwik	Lokaj hrabiego.
Józef Kapusta	Gospodarz.
Agnieszka	Żona Józefa.
Marysia	Ich córka.
Rozbój	Ekonom.
Walek	Parobek.
Ignacy **Franciszek**	Włódarze.
Mateusz	Zagrodnik.
Jędrzejowa	Komornica.

AKT I.

Rzecz dzieje się w Warszawie. Scena przedstawia pokój hotelowy. W pośrodku stół, a na nim butelki z winem; po bokach dwa krzesła. Na lewej ścianie wisi wielkie zwierciadło.

SCENA I.

Antoni i Stanisław siedzą przy stole i piją do siebie. Potem Stanisław zapala cygaro i bierze gazetę; Antoni poczyna śpiewać:

Nie tak in illo tempore bywało.
Mości Cześniku, dawny mój sąsiedzie,
Było dość złota, a wydatków mało,
Piło się własny miodek przy obiedzie.
Szlachcicem być i swobodnie żyć.
Szlachcica życie nadewszystko cenię;
Swobodne życie przy dobrem winie.

Stanisław *(oburzony.)*

Coś podobnego tylko w dawnych czasach mogło uchodzić za właściwe, ale dziś rzeczy stoją inaczej. Szlachcic i chłop są sobie równi, a jako dowód tego, na sztandarach narodu lśnią wyraźnie napisy: wolność, równość i niepodległość.

Antoni.

Wszystko co mówisz jest tylko teoryą i marzeniem, lecz w życie nigdy to nie wejdzie. Wiesz, jaka jest historya naszej szlachty, a historya chłopów jaką jest?

Stanisław.

Ciężka praca, częsta krzywda i ciche łzy.

Antoni.

Do pracy są stworzeni, a co się tyczy łez i krzywdy, wierzaj mi Stasiu, to wszystko baśnie romantyczne. Zresztą, jeżeli chcesz postawić na swojem, to pokaż mi choć jednego chłopa z wyższem i szlachetniejszem uczuciem.

Stanisław.

Nie wiem co właściwie myślisz pod wyrazami „wyższe i szlachetniejsze uczucie.“ To ci jednak powiedzieć muszę, że nasz lud wiejski jest nadzwyczaj poczciwy, pracowity i szczerze kocha tę ziemię, na której się urodził. Ażeby ich cnoty, a więc wyższe i szlachetniejsze uczucia ocenić, trzeba ich poznać z bliska — potrzeba żyć pomiędzy nimi. Zaręczyć ci śmiało mogę, że gdybyś w chacie jednego z twych poczciwych kmieci kilka

miesięcy przepędził, pokochałbyś ten lud wiejski, o którym obecnie z taką ironią się wyrażasz — bo założę się nawet z tobą o cały mój majątek, że uszanowałbyś kmiotka porówno z każdym szlachcicem.

Antoni.

Wiesz co, Stasiu? o majątek nie będę się zakładał, bo zbyt jestem pewny wygranej; ale możemy zrobić zakład o sto butelek szampana.

Stanisław.

Czy nie lepiej o sto czerwonych złotych dla nieszczęśliwych? —

Antoni.

Zgoda! Zakładam się o sto dukatów że, przepędziwszy cały miesiąc pomiędzy tym, tak bardzo przez ciebie chwalonym i miłowanym ludem, zdania mojego nie zmienię.

Stanisław.

Spodziewam się, iż zmienionego zdania nie zataisz i zakład przyjmuję.

Antoni.

Dobrze, za tydzień przyjadę do ciebie i w jednej z twoich wiosek — przebrany za pa-

robka postaram się o służbę u porządniejszego kmiecia. Wiesz? to będzie zabawnie! Najbardziej ciekawy jestem tego wrażenia, jakie na mię uczyni obcowanie pomiędzy tymi ludźmi.

Stanisław.

Mam twoje słowo i naprzód cieszę się wygranej.

Antoni.

Że słowa dotrzymam, o tem przecie nie wątpisz, Stasiu? a przytem wiesz dobrze, że okrutnie lubię komedyę. Dziś nawet, zanim odjadę, spłatam figla mojemu Ludwikowi.

Stanisław.

Cóż tam znowuż za figla? aby nie przyjdź mu za przykro (*do siebie*) żeby mu aby czego Boże broń, karku nie nakręcił!

Antoni.

Złego mu nic nie uczynię, bo to chłopiec dzielny; ma tylko tę wadę, że jak dostanie się do trunku, to zaraz na śmierć się upija. Chciałbym go przeto z tej choroby wyleczyć.

Stanisław.

No, no, już to młodym, to zawsze coś się w głowie roi. — Ale prawda, czas nagli!

Bywaj więc zdrów, miły Antosiu i pamiętaj o zakładzie (*żegna się z Antonim i wychodzi.*)

Antoni.

Szczęśliwej podróży! No, to bywaj zdrów! Spodziewam się, iż wkrótce się zobaczymy. (*odprowadza go do drzwi.*)

SCENA II.

Antoni (*sam.*)

Ciekawym bardzo, co z naszego zakładu wyniknie. Stanisław pewny swego, a i ja o głowę bym się założył, że lud wiejski nie posiada nic takiego, coby nazwać można poczuciem szlachetnego uczucia, ale w zamian tego uwydatniają się aż nadto obyczaje grubijańskie i nieznośne prostactwo. Zresztą spróbować mogę; odwagi przecież mi nie zabraknie. (*po chwili woła*) Ludwik! Ludwik! gałganie jakiś! Ludwik! a! ten skończony hultaj śpi zapewnie, lecz ja go już obudzę! (*bierze rewolwer i strzela dwa razy.*)

SCENA III.

Antoni i Ludwik.

Ludwik (*wchodząc kłania się.*)

Do usług jaśnie wielmożnemu hrabiemu.

Antoni.

Co ty sobie, łotrze, do stu bisów myślisz? Sądzisz zapewnie, że cię tu do spania trzymam?

Ludwik.

Przepraszam jaśnie wielmożnego hrabiego, byłem tak pilnie zajęty na dole czyszczeniem garderoby, że wołania nie słyszałem.

Antoni.

Dobrze już, dobrze, na drugi raz to cię nie rewolwerem, lecz pięścią obudzę. (*po chwili*) Pójdziesz do żyda i powiesz mu, aby tu po południu przyszedł z ubiorem chłopskim — rozumiesz — z ubiorem wiejskim — kujawskim tak, aby mi był wraz; a nadto pamiętaj, żebym cię zastał trzeźwym, gdy wrócę.

Ludwik.

Dobrze, jaśnie wielmożny hrabio (*wychodzi.*)

SCENA IV.

Antoni *(sam.)*

Antoni.

Po wczorajszej pijatyce zachciało mu się spać; ale dam mu do woli; niech się nasyci; potem objaśnię mu jego zły nałóg i zawstydzę go, to może się i poprawi. Ponieważ szkoda byłaby tak młodego człowieka, gdyby się miał stać nałogowym opilcą! (*wychodzi na bok sceny.*)

SCENA V.

Ludwik *(sam.)*

Ludwik *(wchodzi.)*

Chwała Bogu, że tak łatwo mu się z garści wymknąłem. Dobre to hrabiątko, tylko cokolwiek za gorącej krwi (*uprząta po pokoju.*) Czasem to taki dobry, żeby go można około palca obwinąć; ale też bywają chwile, że taka go fantazya napada, gdy złość go opanuje, że aż strach na niego spojrzeć. Brrr.... pamiętam, i bodaj do śmierci nie zapomnę, jak raz się z kolegami zabawiwszy, do domu przyszedłem pod dobrym numerem i wtenczas, jakby na złość, trafiłem go w

złym humorze; to też jak mi nie zaczął żebra liczyć! w boleściach wielkich zostawając tedy pomyślałem sobie: no, już teraz będzie po tobie, Ludwiku. Od tego więc czasu przysiągłem sobie, że póki życia mego, trunku żadnego do ust nie wezmę. (*na stole stojącą flaszkę bierze do rąk i ogląda*) Wino! ha! i to francuzkie, to coś tak okrutnie smacznego, że mię wielka chęć do niego zaczyna ciągnąć (*obraca butelkę*) Pić? czy nie pić? — ale prawda, muszę nasamprzód iść do żyda względem tej wiejskiej garderoby (*po chwili*) eh — to trochę wina nie zaszkodzi; do żyda zaś pójdzie się później. (*chwyta za flaszkę*) Do ciebie Ludwiku (*pije.*) Toż to wybornie smakuje! niczem buziak mojej Józi — czysty szampan. Och, ci panowie, to, to życie! (*uprząta i znajduje cygaro, które zapala*) Dziwno mi bardzo, co mojemu panu wpadło do głowy? ubiór wiejski, wraz na niego mam zamówić (*bierze flaszkę i popija.*) Hm, zbytki go się trzymają! bo to skąd dziś hrabiemu nosić ubiór chłopski? — Wiem przecież dobrze, że wiejskiego życia, a tembardziej wiejskiego ludu okrutnie nie cierpi. Zasmakował Paryża, Rzymu, Warszawy i jak drudzy, tak i on przepuszcza majątek po świecie. Ale

prawda, co mię to obchodzi (*popija*)? — Ha — ha — ha, zachciało mu się być chłopem, ale żeby tylko później tego nie żałował jak ja, bo to we wsi nie żartować. Już ja do śmierci będę pamiętał jak mi w Lipówce na muzyce w karczmie skórę wygarbowali, żem się do dziewuch zanadto umizgiwał, ale co było, to minęło. Jemu zachciało się być chłopem, a ja zaś chciałbym być hrabią (*chodzi po pokoju z wielką pompą.*) Doskonały ze mię hrabia! (*popija*) Lecz cóż? a gdyby się tu teraz tak ktoś zameldował? (*śmieje się*) No, no, już ja wiem! Ludwik jest w dobrej szkole! (*ktoś dzwoni*) Oto masz! już człowiekowi przeszkadza; ale odpalę ja go krótko. (*wybiega.*)

SCEŇA VI.

Antoni (*sam.*)

Antoni (*wchodząc z boku.*)

Posmakował! (*stawia na stół pełną flaszkę, a zabiera próżną*) to i w sidło wejdzie. Ciekawym, czy się też zmiarkuje?

SCENA VII.

Ludwik (*wchodzi.)*

Ludwik.

Jakieś tam półtora książęcia kazało się do pana hrabiego zameldować; ale ja mu krótko odpowiedziałem: (*wskazuje na siebie w lustro*) — jaśnie wielmożny hrabia nie przyjmuje dziś nikogo, bo jest w złym humorze (*idzie do stołu i bierze flaszkę.*) Czy mi się w oczach dwoi, czy co? (*zagląda do flaszki*) przecież już prawie wszystko wino wypiłem, a tu flaszka pełna. Ej, to mi się jakoś dziwnie wydaje. (*pije*) To samo! — A, cóż tam sobie będę łamał głowę i długo dochodził, jak z tem winem rzecz stoi (*pije*) przecież są różne na świecie tajemnice, których nam dochodzić nie wolno. Do ciebie Ludwiku, jaśnie wielmożny hrabio! (*tacza się*) Szkoda tylko, że tu moich kolegów nie ma, bo byśmy tak śpiewali, aż by się te mury trzęsły naprzykład: (*tacza się siadajac na krzesło*)

I. Bracia nuż do koła,
Gdzie radość nas woła,
Do wina, do piwa, siadajmy wraz!
Niechaj zgraja wrogów złośliwa z gniewu się unosi,

Śmielej radość naszą niech głosi,
Dziś każdy z nas.
Ne podemy domu, oż reno, oż bude świtano,
Ne podemy domu, oż reno, oż bude deń.

II. Zawsze niech przy szklance
I przy pogadance,
W zgodzie — wesołości brzmi polski śpiew;
Niech się kto chce szarpie ze złości, nas zmieszać nie zdoła
Przyjaźń, wino, piosnka wesoła,
Ogłuszą gniew.
Ne podemy domu, itd.

III. Co wino, nie woda,
Gdzie przyjaźń tam zgoda.
Kto z nami niech poda nam swoją dłoń!
Niechaj drogi kraj nasz nam żyje i język ojczysty!
Taki śpiew nasz ognisty,
Tu na tą dłoń.
Ne podemy domu, itd.

(*wstaje*) A co, czy nie wesoło?... Brawo sygnor Ludwiko! (*chwyta za flaszkę*) Mallo mallato! liche czasy nastają, bo flaszki wysychają. (*ogląda flaszkę potem idzie do lustra i pije do siebie*) Wiwat, sygnor Ludwiko! (*na to słychać dzwonienie*) Do łysego djabła, co to za indywiduum ośmieliło mi się przeszkadzać!? — (*słychać gwałtowniejsze dzwonienie*) A niech go łysa góra spali! to jakiś

grubijan, bo omało że dzwonka nie urwie! Ale dam ja mu lekcyą, aby na drugi raz wiedział, że z hrabią to nie tak jak z chłopem. (*wybiega.*)

SCENA VIII.

Antoni (*wchodzi z flaszką wina, którą stawia na stole; próżną bierze i ogląda.*)

I z drugą jakoś gracko się spisał, to i ta zapewnie utonie w pragnącym. Ten mój Ludwik to jednak wybornie gra rolę hrabiego; ani myślałem ha! ha! ha.... Lecz sobie jednakowoż życzyłbym lepszego powodzenia w roli parobka. (*za sceną słychać stąpanie — Antoni wychodzi.*)

SCENA IX

Ludwik (*wchodzi.*)

A to gałgański żyd! jakiej to nabrał śmiałości ze swymi towarami dobijać się do hrabiego. Ale za to tak delikatnie go przywitałem, że aż gwałtu krzyczał, a po schodach to z taką grzecznością go odprowadziłem, że sadził po dziesięć stopni na raz jak

młoda antilopa. Ale co? — pożegnanie to takie serdeczne, że aż nosem poszedł pić wodę z rynsztoku jak kaczka; a jego towar! ha! ha! ha! (*serdecznie się śmieje*) No, no, jak to mówią, jestem w dobrej szkole, a jaki pan, taki i sługa. (*idzie do stołu i chwyta za flaszkę*) A to co znaczy? — przecież resztę wypiłem jak mi żyd przeszkodził, a tu znowuż flaszka pełna! Hola, stój (*stawia flaszkę*) czy ja pijany, czy mi się zdaje? (*prostuje się i zarazem tacza*) Rota zwrót! (*obraca się*) rota zwrót! (*obraca się*) do wina marsz! (*idzie stałym i silnym krokiem*) To jeszcze idzie! (*bierze flaszkę i popija*) to samo, ha! już jak widzę, to Pan Bóg o łaknącym radzi...

Wiwat signor Ludwiko! (*pije i tacza się*) A do kroć set fur beczek po jakiego djabła ten pokój ze mną tak lata? (*siada gwałtownie na krzesło*) To z pewnością trzęsienie ziemi! ej nie, to mi się tylko spać chce. (*chwyta za flaszkę*) Te trochę wina nie opłaci się zostawiać! (*pije*) Wiwat signor Ludwiko! tra-ra-ra-ta-ta-tra-ra-ra-brawo! (*wypija resztę wina i próżną flaszkę rzuca na posadzkę*) Idź sobie do djabła, kiedyś próżna! Wiwat signor Ludwiko! (*kiwa się i zaczyna chrapać.*)

SCENA X.

Antoni *(wchodząc po chwili.)*

Dzielnie się spisał. Ha-ha-ha — aktorzy paryscy lepiej nie odegrają roli hrabiego, jak mój Ludwik. No, wziął dobrego na śpiki; nie wątpię, że i dobrze operacya uda się i wybornie. Ale prawda, muszę dać informacyą odźwiernemu jak ma sobie z Ludwikiem postąpić. (*obraca się do Ludwika i mówi z ironią*) Do widzenia jaśnie wielmożny hrabio! (*zasłona spada.*)

AKT II.

Scena przedstawia izbę wiejską; na ścianach obrazy św.; w bokach proste krzesła i skrzynia.

SCENA I.

Józef i Agnieszka.

Agnieszka *(szyje.)*

I cóż ty sołtysowi na to?....

Józef *(strużąc zęby do brony.)*

Ja? — nic kochana Agnusiu. Powiedziałem mu, że wej no muszę wprzódy z tobą i z Marysią pogadać. Bo robić handel na skórę, a niedźwiedź w lesie to po głupiemu.

Agnieszka.

A juścić po głupiemu! ale sołtysiak okrutnie mi się widzi. Chłopak kiejby świeca, a jak się w niedzielę ubierze, to aż miło spojrzeć. Przytem bogaty, bo jedynak, a gdy się ożeni, to mu sołtys gospodarstwo zapisze i...

Józef *(przerywając.)*

A dajże już spokój z tymi pochwałami! On mi się wcale, dla naszej Marysi nie widzi.

Agnieszka.

A to zaś czemu? —

Józef.

Bo tchorzem jest! Gdy inni Moskala ćwiczyli, to on za piecem siedział; a gdy naszych do niewoli gnali, to on się z tego tylko śmiał. Jego zaś majątek, to za nic sobie rachuję, bo to wszystko u Boga w ręku. Ja naszej Marychny radbym za niego nie wydał, a i Marysia, jak widzę, mu nie rada. Zresztą jej się trza samej spytać.

Agnieszka.

Dziwny z ciebie człowiek. Któż by to tam zważał na takie rzeczy — ale spytajmy się Marysi. Co też ona na to powie. (*woła*) Marychna! Marychna! a choć no tu moje serce!

SCENA II.

Ci sami i Marysia.

Marysia.

A czegóż to chcecie odemnie, Mateczko?—

Agnieszka.

Choć no tu bliżej moja Maryś, powiem ci coś!

Marysia.

A cóż to takiego mi powiecie? —

Agnieszka.

A no wejk dzisiaj rano trafił się sołtys z wojcem na łące i powiedział, że Wojtuś chce się z tobą ożenić (*Marysia stoi zawstydzona i skubie rąbek fartuszka*) i że dzisiaj swatów do nas przyśle. I cóż ty na to moja Maryś? (*po chwili*) No, gadajże, nie wstydź się!

Marysia.

Kochana matyńko! jam jeszcze taka młoda i was tak kocham, że chciałabym jeszcze dłużej przy was pozostać.

Agnieszka.

Ej, Maryś, Maryś, jaka z ciebie dziwna dziewucha! Przebieraj no przebieraj, byleś czasem nie przebrała. Organista ci się nie spodobał, ekonom ci się nie widzi, a teraz najbogatszym i najzgrabniejszym synem gospodarskim gardzisz? —

Marysia.

Nie gniewajcie się matusiu, (*całuje ją w rękę*) ale ja wam powiadam, że sołtysiak mi się nie widzi i swatów nie potrzebuje przysyłać, bo nic nie wskóra.

Agnieszka.

Co to za zatracona dziewucha!

Marysia.

A chociażby jeszcze roz był taki bogaty, to ja go nie chcę. (*płacze*).

Józef.

No, no, nie becz Maryś; my cię zmuszać nie będziemy.

Agnieszka.

Uspokój no się moja rybko (*przyciska ją z czułością do siebie, a Marysia całuje ją w rękę*)

Józef (*patrząc przez okno.*)

Jakiś obcy człowiek do nas widać idzie; może chodzi za robotą, a ja właśnie parobka teraz potrzebuję.

SCENA III.

Ci sami i Antoni (*wchodzi.*)

Antoni.

Niech będzie pochwalony!....

Wszyscy.

Na wieki wieków!

Józef (*wstaje.*

Witajcie! a do kogóż? —

Antoni.

Bóg zapłać, do gospodarza Józefa Kapusty.

Józef.

A cóż mi nowego powiecie? —

Antoni.

Chciałem od was usłyszeć, czybyście mię nie przyjęli na służbę?

Józef.

A zkąd żeś to chłopcze? —

Antoni.

Ja? — z tamtej strony Wisły — z królewszczyzny!

Józef.

Anusiu, idźta przyszykować obiad! (*Agnieszka i Marysia wychodzą*) I cóż cię tu w nasze strony przygnało? siadnij sobie. (*podaje stołek*)

Antoni (*siadając.*

U nas smutno pomiędzy nami! latoś i głód. Mój gospodarz zmarł na środo-post, a od św. Wojciecha nastał inny, bo gdowa nie

mogli sobie poradzić. Ja więc musiałem iść w świat, i przyszedłem tutaj szukać innej służby. Właśnie na wiosnę, tędy do fabryki po żelazo jeżdżąc, widziałem Jagnięcą Wolę, która mi się bardzo spodobała, a że u was pono największe gospodarstwo, więc się do was przypytałem, bo mi i ludzie do was stręczyli w tamtej ejno wiosce.

Józef.

A jakżeż ci na imię? —

Antoni.

Jantek Kozik.

Józef.

A potrafisz ty z kosą i dobrze orać?

Antoni.

Ja jeszcze wiele nie orywał, ani też z kosą nie chodził!

Józef.

Takiś wyrosł, a roboty nie umiesz? to chyba ci iść do dworu za fornala.

Antoni.

Niechcę ja za fornala, bo mię właśnie trzeba na wsi służyć, żebym się wszelkiej nauczył roboty. Wolę więc u was służyć za strawę niżeli we dworze za najdroższe myto.

Józef.

To za strawę będziesz służył? a któż ci da przyodziewek?

Antoni.

Mię sukmana wystarczy na kilka roków, a i gotówki mam 100 talarów po stryju co byli młynarzem. Mię więc pieniędzy nie żadna nagłość.

Józef.

Dobry widać z ciebie człek, kiedy mając 100 talarów, pracy nauczyć się chcesz. Jeżeli więc okazujesz wolę u mię służyć, to cię Antku i wezmę; ale czy tylko aby masz konotatkę od naszego wójta? —

Antoni.

Mam pozwoleństwo na stemplowym papierze.

Józef.

Jeżeli tak, to i zgoda. A jak będziesz rąk nie lenił, to poduczywszy się pracy i zapłata ci się znajdzie, bo chociaż, chłopaku, masz sto talarów, jednakże ja nie pragnę, abyś mi darmo pracował.

Antoni.

O tem potem, panie gospodarzu, teraz mi tylko, jaka u was robota?

Józef.

Odpocznij sobie do jutra, boś musiał się w drodze doskonale i zmachać; a i z gospodarstwem i z ludźmi trza ci się wprzódy zapoznać. Idź no tedy na obiad do drugiej izby, a potem obejrzym gospodarstwo i pojdziem do sołtysa. Po drodze wstąpim sobie na półkwaterek, byś przecież nie mówił, żeśmy cię wodą ze studni do domu przyjęli. (*Antoni wychodzi*)

SCENA IV.

Józef (*sam.*)

Józef.

Widać poczciwe człeczysko ten Antek; musi też być oszczędny, bo ubiór na niem porządny i choć ma pieniądze, to jednak chce sie wszelakiej douczyć roboty, aby później wyjść na porządnego gospodarza.

SCENA V.

Józef i Walek.

Walek (*wchodząc mówi do siebie.*)

Walnego parobka urządził sobie gospodarz! kiejby jeno aby lepiej robił, jak dziś

je! bo jak to mówią, licho je, licho robi (*spostrzega gospodarza*) Gospodarzu! ugór zorany, a co po południu każecie robić?

Józef.

Trzeba młócić żyto, bo już mąki zbywa. — A co? czy nie dzielny z Antka parobek?...

Walek (*śmieje się.*)

Ha! ha — ha — walny, walny, ale ze jeno zębiska wysceza na kluski, kiejby nas krucek na gorący zur. Przeciez to ryś nie lada, a niezje za nasą Maryśkę.

Józef.

Nic dziwnego, schodzony, to mu i jadło nie smakuje.

Walek.

I ja nałaziłem się za pługiem, a przeciez nazarłem się, ze as mi w boku tsescy; a po co jemu nie smakuje, cy to on jaki grof? —

SCENA VI.

Józef (*sam.*)

Józef.

Już to mój Walek to do żartów i kpin-

ków ma ogromny szyk. Do roboty tylko to dowcipności mu braknie. (*Za sceną słychać wołanie: „O la Boga rety, o rety rety on się pewnie zabił.“ Józef wychodzi.*)

SCENA VII.

Walek (*sam.*)

Walek (*wchodzi i śmiejąc się trzyma za boki.*)

Ha! ha! ha! Wola Boga, dla Boga! ha! ha! ha! co się zrysi, co się zrysi, ha! ha! ha! O mało, ze się od śmiechu nie udusę, ha! ha! ha! Jak zyję jescem nie widział takiego niezgrabnego parobka jak Jantek. Psylazło to niezdarstwo po obiedzie do stodoły i wzięło ci cepiska, chcąc próbować ze mną młócic. Jak ci tez wziął wywijac i wywijac onemi cepiskami, to myślałem, ze bijak mu się zerwie; o mało, ze od śmiechu nie umarłem, a on widząc to, jesce bardziej zacął machać; ale jak ci się tez nie machnie w łeb, to oz mie ciarki psesły; bo zaroz psewalił się na słome i ani nogą nie wiezgnął. Mówią u nas, ze Mazury niezgrabne, a tu Kujawiak nie wie jak cepiska wziąć do ręki, ha! ha! ha! (*śpiewa*)

Chłopek ci ja chłopek, w polu dobrze orze,
Wszystko mi się dobrze dzieje, chwała Tobie Boże.

SCENA VIII.

Walek, Marysia.

Marysia (*wchodzi.*)

A co ty tu za hałasy wyrabiasz? —

Walek.

Ano nic; jeno ze się nie mogę od śmiechu utsymać bo — ha! ha! ha!

Marysia.

I z czegości to tak śmiesznie?

Walek.

A juscić z Jantka, bo nie moze mi się nijako we łbie pomieścić, ze taki ryś ulęze się pomiędzy chłopami we wsi, a do tyla nie umię wziąć cepisków w rękę. Bo tak ci wywijał niemi, jak carownica miotłą. Ale się porządnie za ucho bijakiem pomacał; juz myślałem, ze po niem ha! ha! ha!

Marysia (*do siebie.*)

O Boże! żeby aby bardzo się nie skaleczył! Biedny Antek! muszę go iść zobaczyć, może będzie co potrzeba przyłożyć. (*głośno*) A ty Walku z cudzego nieszczęścia się śmiejesz? — (*wychodzi*)

———

SCENA IX.

Walek *(sam.)*

Walek.

Jus ta Maryś to dobra dziewucha! Serce to ma takie miękie, jak owce płuca. Ale ze Jantek machnął się za ucho, to pseciez nie niescęście, jeno ze taka sobaka widać niezgrabna (*patrzy oknem*) Oj ta Maryś, jak się to o tego rysia kłopoce.... psykłada jakiesiś zioła ha! ha! ha! nielada się machnął bo... (*słychać wołanie gospodarza: „Walek! Walek!“ na to Walek wychodzi*) *Zasłona spada.*

———

AKT III.

Scena przedstawia ogród. Antoni siedzi na ławce, a przy niem Józef.

SCENA I.

Józef i Antoni.

Józef.

Ola Boga, la Boga! A kajżeż tam i oczy miałeś, na palce kosę zakładać? Ty chyba Antku przez całe życie żadnej roboty niezaznałeś!

Antoni.

Chwała Bogu, już mi teraz lepiej i wnet będę mógł już i robić. Niegniewajcie się tylko, kochany gospodarzu, żem tyle wam turbacyi narobił. Za doktora i medycynę to ja już zapłacę.

Józef.

Cóż tam masz płacić, mój chłopcze, toć to mój kłopot być musi! Wypocznij tylko sobie dobrze, żeby ona się czemprędzej za-

goiła, boś przecie nie lada się zarznął—ale pójdźmy na obiad, bo drudzy już się prawie najedli (*wychodzą.*)

SCENA II.

Walek (*wchodzi.*)

Gospodarz jus sobie polezli, to teraz będzie dobry cas się kstynkę pseciągnąć. Bo co prawda, to i narobiło się nielada (*wyciąga się na ławie*). Ha! ha! ha! ten Jantek, ten Jantek to w niescęśliwą godzinę do nasej wsi psylazł (*wstaje*). Pierwsego dnia machnął sie w łeb, ze as tsescało, a teraz omało ze ręki psy znięciu siecki nie uznął. Ho-ho-ho! to mi się wełbie wsystko pomieściec nie moze. Bo choćby tez był bylejakim parobkiem, to psecies do tyla głupi w robocie nie będzie, jak nas Jantek. Mię się widzi, ze on nie parobek, ani nie chłop, bo jadło mu niesmakuje, a łeb spuści na dół i medytuje; a casem to tak jakoś gładko wymówi, jak ksiądz na ambonie. A choć to ryś taki niezdarny, to go jednak gospodaz lubią. A Marysia, to tak z boku na niego ockami zerka, jak nasa bestra na swego cie-

laka. Ej, to się coś święci — ale co po próżności będę się turbować? lepiej se zaspiewam:

Zawsze żwawo i wesoło. Mozna sobie zyje;
Podkówkami wkoło woli, gozałeckę pije.
Hop ha! hejze ha — dana jeno dana!

Nietrosce się nigdy o to, choć mię bieda gniecie,
Wsak pieniądze piękne złoto, robią kłopot psecie.
Hop ha! itd.

Choć mię Stasia odmówiła, jam psytem wesoły
Jus ona dla mię nie była, bom ja był za goły
Hop ha! itd.

Niech no Walek psyjdzie znowu w swoje dawne (strony
Będzie ściskał, kręcił głową, as dostanie zony
Hop ha! itd.

Oj tak, tak i ja opuściłem moje strony, aby wsickiej turbacyi zapomnąć (*słucha*). Oho! Ktoś lezie, tsa się zabierać do roboty (*wychodzi*).

SCENA III.

Antoni wchodzi, siada na ławie i po chwili zaczyna mówić:

Ach jacy dobrzy są ci ludziska! jak oni o mię się starają i mię w swoim lekomyślnem nieszczęściu pielęgnują. Doprawdy, niejeden z klasy naszych ludzi o wiele niżej stoi pod względem szlachetności i prawdziwej szczerości od nich.

SCENA IV.

Marysia wchodząc trzyma w ręku bukiet kwiatów i idzie wprost do Antoniego.

Marysia.

Możeby już był czas świeże dać przewinienie — czy dzisiaj boli jeszcze?

Antoni.

Boli, ale już nie ręka!

Marysia.

A cóż cię boli? czy głowa z dawniejszego jeszcze?

Antoni.

Marysiu! nie głowa, ale serce mię boli.

Marysia.

To pewnie ze zmartwienia, że cię taka bieda spotkała.

Antoni.

Usiądz przy mię — rozmawiaj ze mną, to może i serce boleć przestanie.

Marysia.

Żebyć moje rozmawianie pomódz ci mogło, to choćbym i cały dzień rozmawiała!

Antoni.

Marysiu! z pewnością pomoże. Usiądź tylko tu o to przy mię, a ja ci opowiem jedną historyjkę.

Marysia.

I dla czegoż by nie? (*siada blisko Antoniego*).

Antoni.

Z tamtej strony Wisły jest jeden bogaty panicz....

Marysia (*przerywając*).

A czy ładny ten panicz?

Antoni.

Wystaw sobie Marysiu, że do mię podobny (*Marysia się uśmiecha*) (*Antoni mówi*

dalej). Otóż ten panicz z młodu był chowany w wielkiem mieście i wcale nieznał wiejskiego ludu. Dopiero gdy gdzieś, w jakiejś książce wyczytał, że lud nasz jest poczciwy i że go kochać i szanować należy, zapragnął wtenczas z bliska oglądać te ręce, z których ciężkiej pracy się żywił; zapragnął żyć pomiędzy tym ludem — rozpatrzeć się w jego obliczu — zbadać jego przywary i błędy, aby następnie mógł wpłynąć na polepszenie losu przynajmniej tych rodzin, które pod jego zwierzchnictwem zostawać będą. W tym to celu przyszedł pomiędzy lud wiejski—przyjął służbę u jednego z cnotliwych gospodarzy, ale tam mu się źle powodzi. Do tego jeszcze pokochał śliczną córkę tego gospodarza i teraz doznaje wielkiej przykrości, bo nie wie, czy śliczna dziewczyna jest mu wzajemną. Ba! nawet nie wie jak jej powiedzieć że on ją kocha; bo on zasłaniając jej swoją miłość, powinien zaraz wyznać, że nie jest chłopem, ale bogatym paniczem. Lecz boi się aby przez to całego swego zamiaru nie zniweczyć, bo śliczna dziewczyna niewierzyłaby bogatemu paniczowi. — Cóż ty powiesz na to Marysiu?

Marysia.

Ja? oto naprzód powiem, że was, Antoni, mam za jakiegoś człowieka, co nie jest chłopem. Bo chłop takby nie potrafił powiedzieć, jak wyście teraz mówili. Co się zaś waszej powiastki tyczy, tom bardzo ciekawa, jak się też skończy.

Antoni.

Widzisz Marysiu, koniec powiastki od ślicznej dziewczyny zależeć będzie. Jakżeż ty Marysiu, radzisz tej ślicznej dziewczynie?

Marysia.

I cóż mam radzić? — żeby mi się taki panicz zalecał, tobym mu powiedziała, że nic nie wskóra, bo dla niego szlachcianki po dworach, a nie wiejskie dziewuchy.

Antoni.

Ale zważ Marysiu, że ta śliczna dziewucha nie wie, że to jest bogaty panicz.

Marysia.

Kaj tam nie ma wiedzieć! zaraz ci to inny obyczaj, u takiego panicza. Czy wy, Antoni, myślicie, że skoroście tylko do nas przyszli, jam nie poznała, że wy nie ze wsi?

Antoni.

A kimże mię tedy sądzisz być?

Marysia.

Ja was sądzę, albo ja wiem za kogo? Ja tylko wiem, ze wy nie ze wsi. Już ja dawno mówiłam matusi, aby wam lepsze dawała jadło.

Antoni.

I cóż twoja matusia powiedziała na to?

Marysia.

Matusia poszli do tatuli i opowiedziała to, co ja mówiłam.

Antoni.

A cóż na to powiedział gospodarz, ojciec twój?

Marysia.

Długo nic nie mówił; tylko mu wej w oczach łzy stanęły, że się matusia wylękli, i kazał wam dawać jeść co najlepszego mamy w domu i mówił, żebyśmy nic do was nie mówili i że zły człek nie musicie być; bo macie czyste spojrzenie. Mówili tylko, że gdybyście chcieli kiedy waszych pieniędzy i sukmanę, które macie w skrzynce mat-

czynej, aby wam zaraz wydać i nie czynić przeszkody jakbyście od nas odejść chcieli. Potem tatulo poszli do stryja i cały wieczor radzili coś koło stryjowego domostwa.

Antoni.

A dawnoż to temu, Marysiu, jak twój ojciec kazał mi dawać co najlepszego jedzenia?

Marysia.

Będzie już chyba przez tydzień cały.

Antoni.

Twój ojciec jest bardzo poczciwy człowiek; może mu kiedy wdzięcznością zdołam odpłacić — ale powiedz mi, Marysiu, gdybyś ty była na miejscu owej ślicznej dziewczyny, do której przebrany panicz się zaleca, czybyś ty jego kochała, gdyby on powiedział, że bez ciebie żyć nie może?

Marysia.

No, pierwej, że ja nie śliczna; a potem bym mu powiedziała, że chociażbym go i kochała, to by mu się i tak na nic nie przydało, bo ja tylko wiejska dziewucha.

Antoni.

Ale żeby on z tobą chciał się ożenić i poprosiłby twoich rodziców o pozwolenie.

Marysia.

A czyby rodzice pozwolili, abym szła za mąż za takiego człowieka, który żadnej nie zna roboty?

Antoni.

Wy byście niepotrzebowali pracować, bo ten panicz jest wielce bogaty.

Marysia.

Tatulo tam niepotrzebuje bogatego zięcia!

Antoni.

A więc on zostanie ubogim, nauczy się wszelkiej roboty, to może wtenczas będziesz go kochała Marysiu!

Marysia.

Przez żywego Boga! cóż wy gadacie? Kogóż ja mam kochać?

Antoni.

Mnie, Marysiu, który ciebie pokochałem

nad wszystkie bogactwa na ziemi — nad całe moje życie!

Marysia.

A któż to słyszał takie powiadanie! A to żebyście mię kochali, tobyście sprosili swatów... lecz zresztą co ja tam bredzę. Jeżeli wy, Antoni, jesteście tym bogatym paniczem, to zlitujcie się nademną i nie psujcie mi głowy.

Antoni.

Marysiu! ja sprowadzę swatów i będę prosił twych rodziców. Ty musisz być moją do śmierci! (*Marysia zakrywa twarz fartuchem i ucieka.*)

SCENA V.

Antoni i Stanisław.

Antoni wstaje i chodzi zadumany; po chwili podnosi głowę i spogląda w stronę z której Stanisław przychodzi.

Stanisław *(wchodząc podaje mu rękę.)*

No i cóż, kochany parobku, jakżeż ci

się tu powodzi? Wygrana z naszego zakładu ku której kieruje się stronie?

Antoni.

Obaj wygraliśmy najzupełniej; ty sto czerwieńców dla ubogich, ja zaś serce pięknej dziewczyny.

Stanisław.

Jakiej dziewczyny?

Antoni.

Córki mojego gospodarza, Józefa Kapusty!

Stanisław (*wydzierając rękę.*)

Nie spodziewałem się, Antosiu, abyś moje poczciwe przedsięwzięcie występną lekomyślnością splamić zechciał.

Antoni.

Więc pojąć za żonę cnotliwą córkę poczciwego człowieka występną lekomyślnością nazywasz?

Stanisław.

Antoni, ty marzysz....

Antoni.

Stasiu, ty serca mego nigdy nie znałeś!

Stanisław.

Miałżebyś zerwać więzy przesądu i ślepoty?

Antoni.

Zerwałem! Dobrowolnie złożyłem Bogu przysięgę, że całem sercem umiłuję lud pracowity łącząc się z niem węzłem najściślejszym....

Stanisław *(rzuca się na piersi Antoniemu.)*

Antoni!!!

Antoni.

W imię szczerej przyjaźni i koleżeństwa proszę cię na swaty.

Stanisław.

Z duszą i z ciałem jestem na twe usługi.

Antoni.

Lecz zaraz jutro, gdyż syn sołtysa, osiadły już i zamożny gospodarz pojutrze swoich swatów przysyła.

Stanisław.

A czy Marysia mu sprzyja?

Antoni.

Przeciwnie. Wraz z swoim ojcem wstręt czuje do niego.

Stanisław.

A więc nie ma czego się obawiać.

Antoni.

Lecz ja pomimo tego trwożę się. Nadto chciałbym, aby rodzice Marysi, bez narażenia się nieprzyjemności, mogli śmiało sołtysowemu synowi powiedzieć — za późno....

Stanisław.

Do widzenia więc. Jutro zpewnością przyjadę.

Antoni.

Za to przez całe życie wdzięczność dla ciebie zachowam.

Stanisław *(podając rękę Antoniemu.)*

A teraz aby nas ktoś nie podsłuchał rozstańmy się. Bywaj żdrów! (*obaj rozchodzą się.*) (*Zasłona spada.*)

AKT IV.

Scena przedstawia izbę wiejską. Ludzie siedzą około stołu lecz już odsunięci. Gospodyni uprząta stołki po obiedzie.

SCENA I

Antoni, Walek, Józef, Agnieszka i Marysia.

Agnieszka *(uprzątając.)*

A czemuż to, Maryś, nie jadłaś kapuśniaka, czy się boisz, rybeczko, żeby ci się buzia nie skurczyła?

Marysia.

A od czegóż by się miała skurczyć? czy to mię pierwszy raz jadać kapuśniak? jeno że dziś nie mam woli do jedzenia.

Agnieszka.

Może z ciekawości niemasz czasu jeść, tylko słuchasz, co drudzy gadają. A słyszałaś ty moja dziewucho, jak ks. proboszcz z Mylnego na odpuście w Jagani mówił na kazaniu, że Ewa za ciekawość z raju wy-

gnaną została; i ty także chcesz być ciekawa?

Walek *(na stronie.)*

Któros to tes na świecie białogłówka nie była kiedy ciekawa?

Józef.

A cóż, Antoni nie wybierzesz ty się z mojej wioski, gdzie cię taka przygoda trafiła? Może tobie będzie i czas ruszyć w dalsze strony.

Antoni.

Czy mię, gospodarzu, wyganiacie za to, żem chleb wasz przez sześć tygodni jadł darmo? A toćże ja wam ten ciężar rychło może wynagrodzę! a Bóg świadkiem, żeście mię ciężej dotknąć nie mogli, gdy mię dziś od siebie odpychacie — dziś, kiedy zamierzam was prosić o największą na świecie łaskę.

Walek *(na stronie.)*

Już to Walek nie napróżno ma wełbie ślepie!

Józef.

Nie wyganiam ja ciebie, Antoni, ani cię odpycham, tylko tak oto myślałem, że może

ci tu u nas dłużej nic niemiło; a i tak, z innej przyczyny jeszcze mówiłem te słowa, ale nie żebym ci kawałka chleba miał skąpić. Daje się to Bóg wie komu, a cóż bym znowuż swojemu człowiekowi miał żałować? Ja sobie tylko cò innego myślałem; nie miejże mi więc tego, miły chłopcze, za złe, ani też miej do nas żałość. Siedź przy nas dopóki ci się tylko żywnie podoba.

Antoni.

Bóg wam zapłać, gospodarzu! Tem powiedzeniem osuszyliście łzy mojego serca.

Józef.

No i o cóż to mię będziesz prosił? — Maryś! idźno z Walkiem i skulnijcie tam ten wałek siana nad wodą, bo się niby na wiatr zanosi, żeby zaś na rzekę nie zdmuchnął.

Marysia *(wstaje.)*

No, to pójdź, Walku!

Walek *(wstaje leniwie.)*

Dyć leżę! (*do siebie*) Jak się tez to człek nazar, ze ledwie łazić moze. (*odchodzą; z innymi i Agnieszka.*)

SCENA II.

Józef i Antoni.

Józef.

No miły chłopcze, czegoż to chcesz żądać odemnie?

Antoni *(nieśmiało.)*

Ja sam tego powiedzieć nie umiem, ale wstrzymajcie się z dalszem do wieczora, może wam kto inny za mię powie.

Józef.

Hm, już ja to dawno miarkuję; ależ ty po to do wsi nie przyszedł, a zresztą jesteś człek wędrowny i nie możesz żądać, abym ja, nieświadom ciebie, mógł się ku twemu skłonić żądaniu.

Antoni.

A gdybyście mię i dobrze świadom byli?

Józef.

Sercem mojem, to ja ci świadom, ale to nie wystarcza. Trzeba być i we wsi swojakiem!

Antoni.

Gospodarzu! wam to wszystko wieczorem opowiedzą.

Józef.

A niech tam opowiedzą, to i posłyszymy! Jestem ja stary żołnierz i z niejednegom pieca jadł chleb; toć że do ładu tedy trafię z tem opowiadaniem. (*idzie do dzwi i kiwając ręką woła*) Maryś! hej Maryś!

SCENA III.

Józef, Antoni i Marysia (*Marysia po chwili wchodzi.*)

Józef.

Maryś, zanieś obiad pastuchowi na pole, bom o niem do cna zapomnieli i powiesz matce, żebyście się uprzątnęły i dom, bo dzisiejszego wieczora mają być u nas ludzie. Możecie się też i trochę ogarnąć. — A ty, Antku idź teraz na młyn, żeby z mlewem się spieszyli (*Marysia wychodzi.*)

Antoni.

Czyli mam, gospodarzu, do wieczora na młynie pozostać?

Józef.

Dyć tam Walentowa pilnuje. Możesz na zachód słońca powrócić (*oboje wychodzą.*) (*Zasłona spada.*)

AKT V.

Scena przedstawia bór lub ogród. Marysia niosąc naczynie obiadowe, zaczyna śpiewać:

Ach jak miło wam tu ptaszki na ustroniu żyć
A kochankom Bóg nie daje,
Tak wspaniale śliczne raje,
Tak szczęśliwym być!

Pokochałam ja chłopczynę, nikt nie wie o tem!
Choćbym rada się przyznała,
Może matka by nie dała
Pomyśleć o tem, pomyśleć o tem!

Boże! ach Boże! cóż to za człowiek ten Antoni, którego moje serce tak prędko pokochało? — Sama nie wiem, czemu go tak okrutnie miłuję! Przecież jest obcy i wcale nieznajomy, a zdaje mi się, że bez niego żyć bym nie mogła. O Boże! Boże, pociesz mię biedną dziewuchę.... Chyba już i rodzic znać musi, kiedy kazał, abym się z matką ogarnęła i abyśmy dom uprzątnęły.

SCENA II.

Marysia i Antoni.

(*Antoni wchodzi z przeciwnej strony i chwyta Marysię za rękę.*)

Marysia.

A cóż to! czy tędy droga do młyna?...

Antoni.

Powiedz mi raczej, którędy droga do twego serca! Maryo; dzisiaj moi przyjaciele będę rodziców prosić o twoją dla mnie rękę. Nie prawdaż, Maryo, że gdy rodzice pozwolą, ty także nie odmówisz mi swéj ręki?

Marysia.

Przez żywego Boga, Antoni; nienazywajcie mię po imieniu świętej, bo to grzech wielki! A toćże ja nie jestem Marya, ale Marysia. I skądże wam przyszło, chcieć mię za żonę?

Antoni.

Bo ja ciebie kocham nad moje życie — nad świat cały — kocham cię miłością najwyższą na ziemi i kochać cię będę do grobu!

Marysia.

A kto wy taki, co mię kochacie?

Antoni.

Twój Antoni, twój do śmierci wierny Antoni!

Marysia.

A rodzic wie już to, kto wy taki?

Antoni.

Dowie się dzisiaj wieczorem i zpewnością zezwoli na nasze połączenie. Od ciebie tylko zależeć będzie, czy będę najszczęśliwszym z ludzi.

Marysia.

Ja tam ani wam krzywa, ani wroga nie jestem. Jeżeli zaś rodzice będą wiedzieli co wy za jeden i zezwolą na to, to ja.... (*Marysia przerywa, a Antoni z pospiechem chwyta ją za rękę i przyklękając mówi: dokończ Marysiu, ach dokończ, najdroższa!*)

SCENA III.

Marysia, Antoni, Jędrzejowa.

Jędrzejowa (*niosąc na plecach gałęzie z drzewa spostrzega klęczącego przed Maryą Antoniego i mówi prędko i bez przestanku.)*

O najświętsza Apolonio, patronko od bolenia zębów, cóż ja to tu widzę? A to taka jest cnotliwość Józwowej córki? że aże przed nią jakiś obleciświat, co każdemu we wsi jest nieznajomy, wej a to klęczy przed nią, jak djabeł przed suchą wierzbą, a ona mu tego nie zabora, ani złego słowa nie

nęknie. A czyś ty to jaki cudowny obraz, albo figura? Ej będą się matuś cieszyli, że taką córkę wychowała, co to jak Magda ze żołnierzami w świat poszła, albo jak Matuszowa kobieta. A niemarz-że ty, dziewucho, wstydu w oczach, że jeszcze na mię patrzysz? A ty, wędrowny chłopie, czego się tak na mię gāpisz, jakbyś mię pożreć chciał? Poczekajta, będą Jozwowie zaraz wiedzieli! Nie darmo to ludzie mówili, że to z tem łożęgą, co żadnej roboty nie zna, dobrze być nie może i że on jakie złe na wieś sprowadzi. A czy że to nie złe, kiedy on przed młodą, z naszej wsi dziewuchą, klęczy na polu jak djabeł przed duszą, co ją chce porwać do piekła.

Antoni *(rozgniewany.)*

Milcz, głupia kobieto, bo nie wiesz sama co mówisz!

Jędrzejowa.

Ejno głupia, widzisz go drągala, głupia! To ja głupia? że idę z gałęziami przez pole i że ich natrafiłam, jak on klęczy przed nią i przysięga się na wszystkie biesy, a ona słucha go jak owca i spogląda na niego, kiejby jaka grzywaczka na jakiego grzywacza, aże się jej oczy zaczerwieniły.

Antoni.

Milcz, powtarzam, sprośna babo, albo cię natychmiast ukarzę.

Jędrzejowa *(krzycząc.)*

Gwałtu! rety! ratujta ludzie! ratujta! Kto ma Boga w sercu ratujta! a toć że ten drągal zabić mię chce; gwałtu ratujta!

Marysia.

Przez miłosierdzie boskie, Jędrzejowa, nie róbcie mi takiego wstydu. Moja miła Jędrzejowa! tylko nie krzyczcie. Już wam podaruję najnowszą chustkę, albo waszemu dziecięciu dam wstążek do włosów....

Jędrzejowa *(przerywając.)*

Gwałtu! ratujta! ludzie ratujta! to ona mi chce dać chustkę za to, że jej kochanek mię zabić chciał, gwałtu!

Antoni *(zniecierpliwiony podskakuje do Jędrzejowej i połą od sukmany zatyka jej usta.)*

Ja dam radę, twemu wyprawnemu pyszczykowi szkaradna babo (*w tem wchodzi ekonom.*)

SCENA IV.

Antoni, Marysia, Jędrzejowa i Rozbój.

Rozbój *(wpada z harapem w ręku.*

Cóż to szelmo, chamie, masz za racyę napastować starą kobietę! (*w tem uderza Antoniego 3 razy harapem. Antoni rzuca się na ekonoma, ciska go o ziemię, wydziera z rąk harap i staje w groźnej postawie.*)

Rozbój *(leżąc jeszcze na ziemi mówi dalej.)*

Szelmo! chamie.... (*woła*) Franciszku! Ignacy! bywaj! bywaj! a bywajże zaraz.... (*wstaje z ziemi.*)

Marysia.

Antoni! jeżeli ci Bóg miły, uciekaj! Antoni uciekaj, bo oni cię zakatują!

Rozbój.

Poczekaj i ty czyżyku, dam ja ci namawiać go do ucieczki; to pewnie was Jędrzejowa zeszła na jakimś u....

Antoni *(przerywając.)*

Milcz potworze, bo ci zęby wybiję!

Rozbój.

Takiś ty ptaszek? (*odwraca się ku włodarzowi*) bywaj! bywaj!

Marysia.

Na rany boskie zaklinam cię, Antoni, mój ty najmilszy—najdroższy Antoni, uciekaj, dopóki oni nie nadejdą.

Antoni.

Uspokój się, kochanie ty moje, mię włos z głowy nie spadnie.

Rozbój.

Ja ci szelmo, łotrze, wszystkie kudły ze łba powyrywam; dam ja ci się rzucać na ekonomską osobą!

SCENA V.

Ci sami, Ignacy i Franciszek wpadają.

Rozbój.

Łapcie tego durnia i na ziemię z niem! Policzę ja mu wszystkie żebra, aby wiedział, że miał do czynienia z ekonomską osobą. (*Włódarze chwytaja Antoniego, i rzucają go o ziemię. Rozbój wydziera mu harap, podnosi do góry i chce uderzyć nim Antoniego. Wtem Marysia rzuca się pomiędzy ekonoma i Antoniego, a Rozbój uderza ją w twarz. Gdy An-*

toni widzi krew na czole Marysi, zrywa się i włodarzy rzuca na bok; ekonoma zaś uderza w piersi, który też pada na ziemię.)

Antoni.

Takie to więc są sądy wasze na lud pracy i nieskalanej cnoty? Zbrodniarzu! jestem bliskim krewnym twojego pana—jestem hrabią, dziedzicem piętnastu włości. Moją krzywdę przebaczam ci najzupełniej; ale za tą krew, którą przelałeś z głowy mojej narzeczonej, w kajdany ręce twe okuć każę. Zapewnie mię rozumiesz? bo czyby włościanin, który wzrósł pod cięgami waszych batów, mógł się do ciebie odezwać mową, do słów moich podobną? Słyszałeś ty już kiedy z ust twojego pana nazwisko hrabiego? (*wszyscy stoją wylęknieni*) Maryo! najdroższa Maryo, ty przyszła małżonko moja, czy wielki ból czujesz?

Marysia.

Jaśnie wielmożny paniczu, ach, ja żadnego bólu w głowie nie czuję (*wskazuje na serce i rzewnie zaczyna płakać. Antoni z miłością ją całuje, potem bierze pod rękę i oboje wychodzą.*)

SCENA VI.

Pozostali.

Rozbój.

A ty przeklęta babo! toś ty twoim wyszczekanym pyskiem tyle złego narobiła.

Jędrzejowa.

A mój Boże, a któż tam mógł wiedzieć, żeby hrabia był za parobka przebrany.

Ignacy.

Oj źle! z pewnością teraz nas ze wsi wypędzi, a to wszystko przez głupość pana ekonoma.

Franciszek.

A niech się tam dzieje wola boska! Ale kochany komotrze, anim się spodział, że panicz ten może być taki silny. Toć jak mię nie kropnął od siebie, to myślałem, że gdzie o majok jaki dopiero się zatrzymam, aże wszystkie gwiazdy mi się we ślepiach zaświeciły (*maca się po krzyżach.*)

Rozbój.

Ruszajcie do roboty, szelmy, chamy. Do mądrowania toście są, ale żeby coś zrobić to was nie ma (*pokrząkuje.*) Piersi formalnie rozbite, a i koza, do stu bisów pewno nie minie. (*Wszyscy wychodzą, zasłona spada.*)

AKT VI.

Scena przedstawia izbę wiejską.

Antoni, Marysia, Józef, Agnieszka, Walek, Franciszek, Ignacy, Jędrzejowa i Mateusz.

SCENA I.

Józef.

Mówicie, panie, że się z córką moją, za naszem pozwoleniem żenić chcesz, a nie myślisz, panie, o tem, że twoja jaśnie oświecona krewność na ten ożenek pozwoli? Czy myślisz, panie, że gdy ją pojmiesz za żonę, to ją uszczęśliwisz? O jakże by to być mogło, panie, gdy krewni twoi będą ją palcami wytykać, za to, że ona chłopka. Moja znowuż krew jest za dobra, aby ją palcami wytykać miano, bo ja, jak i wy panowie, w tej samej św. wierze zrodzony i wzrosły. Przez całe życie podlegam uczynku ani razu nie popełnił; a kiedy trza było, przedtem z innymi do Kościuszki i wszędzie, gdzie kochany nasz naczelnik rozkazał i starsi zakomenderowali, to śmiało szedłem—bo to przecież za naszą kochaną Polskę. Trzy rany,

które otrzymałem pod Racławicami w piersi i głowę, lepiej mię uszanować każą, aniżeli bym miał dać jedyną córkę na jakieś tam pańskie wskazywanie palcami.

Antoni.

Józefie, niech Bóg i wszyscy tu obecni będą mi świadkami, że nigdy niedozwolę, aby żonie mojej, a córce waszej krzywda się kiedy stać miała; tem bardziej, ażeby na nią ktoś bezkarnie miał palcem wskazywać. Jagnięcia wola od dzisiaj sądownie do mnie należeć będzie. Jutro prawnie oddam ją wszystkim tutejszym gospodarzom na równy podział własności bez żadnego czynszu. Przydam wam także lasu i dodam łąki i pastwiska. Z córką zaś waszą zamieszkam o 7 mil stąd w mych dobrach—w Sączynie....

Mateusz.

A kaj ja tez ocy zadziałem! (*chwyta hrabiego za kolana.*) A toćże pod jaśnie wielmożnym hrabią jest moja siostra, co to jest Wojtkiem Pietruską w Mysłowie. Wielki Boże, Józefie! a dyć chwytajcie jaśnie wielmożnego hrabiego za kolana i kiedy żąda wasej córki za żonę, a dajtaż mu ją dajta. Dyć Sącyn, Oko, Mysłów, Gąbino, Paprochy, Drwalewo, Zęby wielkie, Zęby małe, Wilczy

kierz, i Ladów i pięć zagrodnych to wszystko na 4 mile wokoło do pana hrabiego należy.

Józef.

Gadacie, kumie, jak rozumiecie. Dla Jantka parobka, żeby się nauczył roboty, a był Bogu i ludziom usłużny, z największą chęcią oddał bym mu córkę. Bo co prawda to nie grzech! Dawno już miarkowałem ja, że się ku sobie mają, ale żebym miał się teraz łakomić na owe bogactwo, to niech ona lepiej pójdzie za sołtysiaka; wszakże i swaty na jutro ma przysłać.

Marysia.

Tatusiu, ja tam niechcę sołtysiaka!

Agnieszka.

A kogoż wtenczas będziesz chcieć?

Marysia (*spoglądając na Antoniego.*)

Tego, którego kocham nadewszystko, mego kocha.... (*zaczyna płakać.*)

Walek (*do siebie chwytając się za głowę.*)

O mało, ze mi łeb nie pęknie od wsystkich zmysłów; a toć ja do cna zgłupiałem! co się tez to na świecie bozem grysi, a grysi się, grysi!

SCENA II.

Ci sami; Stanisław i Ludwik wchodzą.

Wszyscy.

Nasz ukochany pan dziedzic!!!

Stanisław.

Tak moje dzieci, przychodzę, lecz jak widzę, zapóźno. Okoliczność wyręczyła mię z obowiązku swata, który podjąłem dla waszego parobka Antka.

Józef.

Wielmożny panie! Bóg by to dał, aby wielmożny panicz (*wskazuje na Antoniego*) nie był hrabią, ale parobkiem. Z radością skłoniłbym się do jego proźby, ale Bóg widzi, że tak, to przykro mi przychodzi oddać mu naszą Marysię. Wszak wielmożny on hrabia, a ona biedna chłopka.

Stanisław.

Kochany Józefie, ręczę wam, że hrabia Antoni, kuzyn mój, doskonale przekonał się, iż żadne nie istnieją różnice pomiędzy stanami. Przecież wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga i synami jednej kochanej oj-

czyzny Polski. Dozwólcie więc niech się lud polski wspólnie łączy; bo każdy ma równe prawa w usługach ojczyzny i nie prędzej doczekamy się wolności, i oswobodzenia ojczyzny, aż staniemy wszyscy połączeni węzłami równości i braterstwa. Kochany Józefie i Agnieszko (*bierze Antoniego i Marysię za ręce*) jeżeli chcecie szczęścia dla dzieci waszych, błogosławcie im (*Antoni i Marysia klękają.*)

Józef.

Ha no, kiej już taka wola boska, to się ta trza i zgodzić (*Józej i Agnieszka trzymają wzniesione ręce nad głowami młodych a Józef mówi:*) Oby Bóg Abrahamów, Izaaków i Jakubów raczył błogosławić was i po długiem i szczęśliwem życiu aby was przyjął do świętej chwały swojej za przyczyną niepokalanej Matki Jego i wszystkich Świętych, Amen.

Stanisław.

I ja wam, moi drodzy, życzę z całego serca takiego szczęścia, jakiego obecnie w tej chwili doznajecie. Niech was Bóg błogosławieństwem Swojem obdarza po wszystkie dni żywota waszego (*obracając się do Ludwika.*) Ludwiku! Każ przynieść tu be-

czkę wina i beczkę piwa! Także sproś całą wieś, bo to dziś zaręczyny waszego przyszłego pana.

Walek.

Wielmozny panie! ja skocę po sksypka i dudy, bo co to za uciecha bez muzyki?...

Stanisław.

Dobrze! dobrze!

Mateusz.

A teraz, kochani bracia, wykrzyknijmy naszemu kochanemu dziedzicowi, jako i młodemu naszemu państwu: niech żyje!!!

Wszyscy.

Wiwat!!!

Antoni.

Niech żyje po między nami równość i miłość bratnia!

Wszyscy.

Wiwat!!!

Stanisław *(wyciągając szablę.)*

Precz z tyranami, niech żyje Polska!

Wszyscy.

Wiwat. (*Za każdym razem gdy aktorzy wołają „wiwat" orkiestra gra „niech żyje nam".) (Zasłona spada.)*

KONIEC.

Hrabia Parobkiem

u

KMIECIA.

Komedya w sześciu aktach ze śpiewkami;
opracował z oryginału

FR. KRAWCOWICZ.



CHICAGO, ILLS.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA.
1896.

